

METTE VEDSØ



KWIECIEŃ PLECIEŃ

PRZEŁOŻYŁA
EDYTA STĘPKOWSKA



widnokrąg

KWIECIEŃ PLECIEŃ

METTE VEDSØ



KWIECIEŃ

PLECIEŃ



Przełożyła Edyta Stępkowska



© Mette Vedsø og Høst & Søn/Gyldendal, København, 2019.

Tytuł oryginału *Når hjertet er en elpisker*

Illustration and cover copyrights © Alette Bertelsen/aletteb.dk

© the Polish translation: Edyta Stępkowska

Redaktorka prowadząca: Katarzyna Węgierek

Redakcja i korekty: Redaktornia.com

Skład i łamanie wersji polskiej: Redaktornia.com

Adaptacja okładki: Redaktornia.com

Opieka produkcyjna: Multiprint Joanna Danieluk

Projekt współfinansowany w ramach projektu Unii Europejskiej



Kreatywna
Europa

Wsparcie Komisji Europejskiej dla wydania tej publikacji nie stanowi poparcia dla treści, które odzwierciedlają jedynie poglądy autorów, a Komisja nie może zostać pociągnięta do odpowiedzialności za jakiegokolwiek wykorzystanie informacji w niej zawartych.

Tłumaczenie książki zostało dofinansowane przez Danish Arts Foundation



Danish Arts
Foundation

© for Polish edition by Wydawnictwo Widnokrąg

Piaseczno 2021

Wydanie I

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie i w jakiegokolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-962038-1-6

Wydawnictwo WIDNOKRĄG

www.wydawnictwo-widnokrag.pl





Mamy angielski. Sala jest kwadratowa, jakieś sześć metrów na sześć. Lekcja zaczęła się dwadzieścia minut temu. Odliczam z palcem przyłożonym do tętnicy szyjnej. Mam puls sto trzydzieści.

Kiedy nauczyciel, którego nazywamy Puchatkiem, mówi: „Zapraszamy, Pi. Oddaję ci głos”, ściany nagle są pochylone jak drzewa, które wyrastały na wrzosowisku, smagane ostrym wiatrem z zachodu. Swoją prezentację umiem na pamięć, ale myślę tylko o tym, jak mam wstać, jak postawić jedną stopę przed drugą, czy jestem w stanie podnieść nogę. A może już za późno? Co z tętnicą, tą grubą, która biegnie od serca do mózgu, czy na pewno jest szczelna? Mózg plus krew równa się wylew krwi do mózgu. Moje ciało powoli wstaje, w żółtym tempie sunę między oparciami krzeseł, mijam Almę i Kat, i chmurę ostrego dezodorantu.

Słumione odgłosy klasy i mój własny, dominujący, gdy uderzam o podłogę. Znikam tylko na kilka sekund, ale takie kilka sekund może ogromnie dużo zmienić.



To wtedy, w dwudziestej pierwszej minucie angielskiego, przestają być Pi Marią Simonsen i stają się tą z pierwszej B, która osunęła się na linoleum.



Tego Puchatka wymyśliły Alma i Kat. Wzięło się to stąd, że nasz nauczyciel ma na imię Jakub i wygląda trochę jak słodki żółty miś. Kiedy dochodzę do siebie, pochyla się nade mną, a ja pomiędzy guzikami koszuli widzę słaby zarost na jego torsie. Zaskoczeniem jest czarny wzór – on i tatuaż?!



W karetce mam ochotę powiedzieć wszystkim: „Hej, ja tylko żartowałam. Wysadźcie mnie, trzeba skrócić w lewo, potem w prawo i potem znów w lewo”.

Jakiś mężczyzna rozpina mi bluzkę. Przykleja mi powyżej stanika nalepki z niebieskimi elektrodami. Takie same umieszcza jeszcze na nadgarstkach i kostkach.

– Sprawdzimy twój rytm serca, czyli zrobimy ci EKG – mówi i podłącza przewody do małego urządzenia.

Przypominam sobie, że nie ogoliłam nóg, i mam ochotę powiedzieć: „Przepraszam”.

– Nabrałaś kolorów na policzkach – stwierdza mężczyzna i klepie mnie w ramach pocieszenia po głowie.

Gryzę się w knykieć, żeby powstrzymać łzy.



Siedzę na ostrym dyżurze, na pomarańczowym krześle z drewnianymi podłokietnikami.

Pielęgniarka obwiązuje mi ciasno ramię i pobiera krew.

– Zostawimy cię na kilka godzin na obserwację – mówi i wskazuje głową na monitor. Dodaje, że moje CRP jest w normie.

– To dobrze – odpowiadam szeptem i znów przypomina mi się angielski. Bo z angielskim nie jest ani trochę dobrze. Problemy zaczęły się już na początku liceum. Każdy miał przeczytać na głos dłuższy fragment z książki, tak tylko, żeby nauczyciel mógł się zorientować, na jakim jesteśmy poziomie. Tylko że od tamtej pory zaczęłam mieć obsesję na punkcie swojej wymowy. Żeby nie było: lubię ten język, uważam, że jest piękny, i kiedy w swoim pokoju mówię po angielsku na głos, wydaje mi się, że brzmi to całkiem w porządku, ale na lekcji jest zupełnie inaczej. Mamy w klasie sporo osób dwujęzycznych. Oliver i Sandra mają tatę Anglika, Sille mieszkała w Stanach, a ten Villads, który do nas dołączył po przerwie jesiennej, był na wymianie.

W podstawówce nauczycielka zawsze mnie chwaliła. Mówiła, że mam ucho do języków, ale w pierwszej B jakoś tego nie

widać. A już zwłaszcza po moim pierwszym wystąpieniu na żywo. Czułam, jak wszyscy się gapią, zwłaszcza Oliver i Sille co chwila przewracali oczami – na bank chodziło o mój akcent. Próbowalam oczywiście mówić brytyjskim angielskim, starałam się, żeby to brzmiało naturalnie, ale pewnie tylko im udowodniłam, że jestem tryhardem.

To było wprawdzie dawno, jednak od tamtego czasu prawie przestałam się odzywać na angielskim. Robię to tylko wtedy, kiedy absolutnie muszę, jak na przykład dzisiaj.

Prezentacja. Cały tydzień ćwiczyłam, nawet się nagrałam, żeby móc siebie obejrzeć. Musiałam, nie było rady. W miarę jak zbliżał się ten moment, narastał we mnie strach. To już nie była szkolna prezentacja, to był skok z dziesięciometrowej trampoliny, nurkowanie w Rowie Mariańskim oraz lot na Marsa i z powrotem.



Wiozą mnie na oddział, który się zaczyna na „p” (ale nie chodzi ani o polipy, ani o półpasiec).

– Połóż się wygodnie i... udanej przejażdżki – mówi ten, który mnie pcha. Na kitlu ma napisane „Niels” oraz „salowy”.

Jadąc, czuję się, jakby ktoś przejął stery mojego życia. Mogłabym się cofnąć do wieku niemowlęcego, jechać w wózku, oglądać gałęzie i mijanych po drodze ludzi, którym wiatr rozwiewa włosy, patrzeć na neony i niebo, ale białe plastikowe kratki w suficie z jaskrawo oświetlonymi kwadratami mimo wszystko rozwiewają to złudzenie. Zamykam oczy, na wypadek gdyby pojawił się tu ktoś, kogo znam, na przykład brat dziadka – on ma cukrzycę i często chodzi na różne kontrole.

Telewizor w sali jest włączony. Leci program o kradzieży w sklepie. Na nagraniu z monitoringu widać kobietę, która kradnie puszkę kawy. Słyszę jakieś dźwięki przy drzwiach i pojawia się w nich twarz mamy.

– Normalnie nigdy się nie gubię – mówi z oczami wielkimi jak spodki i czarnymi jak lukrecje. – Najpierw trafiłam na kardiologię, a potem na choroby zakaźne.

– Jestem tu już kilka godzin – mówię. Dotyk jej ciepłego policzka sprawia, że płyną mi łzy.

– Och, skarbie – szepcze. – Byłam na tym spotkaniu w Roskilde. Mamy wdrażać nowy system zarządzania.

Po raz pierwszy, patrząc na nią, myślę sobie: „zagubiona”.

Szybko jednak dochodzi do siebie: czuje się pewnie, kiedy widzi różne urządzenia. Lubi się otaczać ludźmi potrafiącymi wszystko zmierzyć, zważyć, a potem ułożyć plan. Pielęgniarka, która przedstawiła się jako Nana, zapewnia ją, że to nic poważnego. Że wszystkie badania wyszły w porządku.

To brzmi jak obelga: „nic poważnego”. Upadłam na podłogę w obecności dwudziestu sześciu osób z klasy i na pewno gada o tym cała szkoła.

Sama prawie się nie odzywam, za to mama i Nana oraz jakaś nowa wysoka kobieta cały czas rozmawiają ściszone głosami.

– To wygląda na silny atak paniki – mówi ta wysoka i macha pudełkiem z tabletkami, demonstrując je pozostałym. Wyjaśnia, że można się nad nimi zastanowić, ale najpierw oczywiście muszę przejść dokładniejsze badania i porozmawiać z psychiatrą.

Słyszę, że to lekarstwo łagodzi napięcie. Mama cały czas potakuje.

Niebo za oknem jest różowe jak te tabletki, które czekają cierpliwie w podłużnym plastikowym futerale i szepczą: „Słyszałaś, co powiedziała, łagodźmy napięcie”.



Dziwnie się czuję. Wyobrażam sobie, że mam w brzuchu splątana włóczkę i czyjeś palce próbują ją rozplątać. Wiją, szarpią, luzują, skręcają.

– Jak się teraz czujesz? – pyta pielęgniarka.

Nie mówię jej o włóczce, za to często słyszałam zwrot „wewnętrzny niepokój”, więc to właśnie odpowiadam.

– To dobre określenie – stwierdza.

– Naprawdę? – pytam zaskoczona.

– Zawsze łatwiej jest wyjaśnić coś, co już zostało nazwane – mówi. – Na przykład ból głowy albo brzucha.

Kiwam głową.

– Wiele młodych osób, które do nas trafiają z objawami stresu lub paniki, nie potrafi nawet nazwać tego, co czują.